

GŁOS

LITERACKI I SPOŁECZNY.

NIEDZIELNY BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU NARODU“.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBURG.

Redakcja i Administracja: Garbarska nr. 7.
Telefon nr. 309.

Sekretarz Redakcji: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 16.

Kraków, dnia 21. kwietnia.

1901.

Ofiary stosunków.

Kwestya obierania sobie zawodu życiowego przez młodzież galicyjską była już nieraz przedmiotem długich rozpraw.

Jeżeli zatem zabieramy dziś w niej głos, to dzieje się to jedynie dla tego, by tę sprawę, tylekroć już omawianą i równą ilość razy puszczaną w niepamięć przedłożyć jeszcze raz naszym czy-

Weźmy np. pierwszego lepszego akademika uczęszczającego na wydział prawniczy i zapytajmy go, dlaczego studjuje prawo rzymskie, niemieckie i kanoniczne, lub — jeśli już przeszedł szczęśliwie czyszciec egzaminu prawnohistorycznego — dlaczego męczy się nad wbijaniem sobie w głowę paragrafów obu kodeksów i obu procedur austry-

mnie nikt nie złapie; wolę zdać trzy egzamina prawnicze i zostać urzędnikiem. Chleb spokojny, pewny, droga do kariery otwarta; mój wuj jest hofratem, ciocia zna się z dwoma nadradcami i... jakoś to będzie.

Biedny ten wydział „prawa i umiejętności politycznych“! Na medycynę udają się młodzieńcy

Katastrofa w Neapolu.



Dzwon spadający z wieży do wnętrza kościoła ŚŚ. Apostołów.

telnikom. Dopóki młode pokolenia będą opuszczały mury szkolne i dopóki jedne gałęzie pracy będą się uginać pod gromadami młodych ludzi zrywających z nich owoce, drugie zaś będą czekały na takich co by chcieli do nich się zabrać — dopóty też i kwestya o której mowa, będzie zawsze świeżą i żywotną.

Na obiór zawodu składają się tysiączne sprężyny. Jedne z nich powinny działać, drugie zaś nie — i w tem właśnie leży sęk całej sprawy.

ackich? Dziewięćdziesiąt dziewięć na sto odpowiedzi będzie — pytaniem:

— A co mam robić innego? Może pójść na filozofię? Dziękuję za to! Jestem zdrow, potrzebuję na gwałt jedzenia i w przyszłości również go będę potrzebował. Może mam zostać lekarzem? Padam do nóg. Siedm lat babrać się z trupami i kuć bez wytchnienia, potem, aby mieć prawo oczekiwania na pacjentów w pokoju do konsultacji, urządzonym za pożyczone pieniądze? Na to

zamilowani w tym zawodzie; to samo da się mniej więcej powiedzieć o filozofii. Jedno tylko prawo ma to do siebie, iż studjują go przeważnie ludzie nie mający doń zamiłowania. Zaledwie dziesiąta część jurystów może powiedzieć z ręką na sercu, że naukę swoją kocha i oddaje się jej z przyjemnością. Reszta ziewa nad pandektami, klnie kodeks na czem świat stoi i marzy tylko o tem, by zepchnąwszy jakoś egzamina, dobić się kawałka urzędniczego chleba.

Przyczyn tego szukano już nieraz, nieraz zapatywano się czemu nasza młodzież tak masowo obiera karierę urzędniczą, bądź państwową, bądź krajową, bądź też prywatną, lecz odpowiedzi brzmiały zwykle połowicznie, często zaś fałszywie.

Pierwszemu się nie dziwny. Kwestja jest zbyt rozległa, aby się ją dało zbyć ogólnikami, lub wyczerpać w jednym a choćby dziesięciu artykułach. Drugie jest mniej łatwe do przebaczenia, gdyż nietylko balamuci opinię publiczną, lecz nadto traktuje całą młodzież podejrzeniami i inwektywami, na które mogą zasługiwać tylko jednostki nigdy zaś ogół.

Sanatorium dla suchotników w Zakopanem.



Model budynku.

Często mianowicie, zbyt często nawet, słyszymy o „karjerowiczostwie młodzieży“ o „uroku złotego kolnierza“ o „20 letnich kandydatkach na hofratów“ i innych tym podobnych historyach, które spadają zwykle na całą młodzież zarzutami karjerowiczostwa i ukochania rządowego munduru. Zarzuty to ciężkie i przykre zarówno dla obwinionych bezpośrednio, jak i pośrednio, tj. dla samej młodzieży oraz dla rodziców, a naszym zdaniem bardzo przesadne i mało uzasadnione.

Karyerowicze szukający „losu“ w urzędzie, o ile mogliśmy zauważyć, rekrutują się niemal wyłącznie z pośród młodzieńców pochodzących z tak zwanej arystokracji urzędniczej. Papa — nadradca, wujcio — radca, stryj — starosta a kuzyn hofrat, oto zwykły obraz drzewa genealogicznego takiego amatora gwiazdek i piroga. Młode pędy szukające rychłego i smacznego pożywienia na gruncie urzędniczym są zwykle odroślami gałęzi, które czerpią pożywe soki z pnia wiedeńskich Sectionschefów lub hofratów. Chłopak, chowany od małości w atmosferze urzędniczej, w poszanowaniu rangi i tytułu, karmiony od rana do nocy praktyczną mądrością życiową, streszczającą się w słowie: karjera, musi nareszcie przyjść do przekonania, że po za złotym kolnierzem niema na świecie niczego godnego uwagi.

Kto chce, niech piorunuje na takie ofiary spalonego wychowania: ludzie rozsądni powinni mieć dla tych kalek umysłowych tylko współczucie i nic więcej.

Po za tymi patologicznymi okazami mamy wszakże setki młodych ludzi o bardzo rozsądnych zapatywaniach i szerokich nieraz poglądach, którzy, zamiast zużytkować swoje zdolności w jakimś wolnym zawodzie, wołają isć w jarzmo służby biurowej, załatwiać „kawalki“, znosić kaprysy przełożonych i patrzeć, jak mniej od nich zdolni, mniej pracowici, ale za to więcej ustosunkowani koledzy przeskakują po kilka szczebli drabiny hierarchicznej w czasie gdy oni, pracując za siebie i za tamtych, niemogą się doczekać awansu.

Trudno przypuścić, aby ci wszyscy biali murzyni w pstrokatych mundurach mogli się ludzi u wstępu kariery, że los przeznaczył ich właśnie do rzędu szczęśliwców, przebywających błyskawicznym pociągiem protekcji w lat kilkanaście drogę, której inni nie przejdą w ciągu całej swojej służby biurowej. Tem mniej można przypuszczać, aby jakiś duży procent przyszłych urzędników mógł obierać swój zawód pod wpływem specjalnego zamiłowania... Biurokracja, austriacka zwłaszcza nie jest w stanie nikogo natchnąć jakimś głębszym uczuciem!

Położenie polityczne i ekonomiczne kraju zapędza poprostu setki młodzieńców w szeregi biurokratycznej armii. Znamy nazwiska inżynierów-mechaników, którzy nie mogą znaleźć w kraju zatrudnienia, znamy medyków, którzy dla braku pieniędzy na życie utknęli na ostatnich rygorozach i żyją z dyurnów, znamy zastępców nauczycieli, którzy od lat są — zastępcami nauczycieli. Czy można się dziwić młodemu chłopcu, jeżeli widząc, że w innym zawodzie nie rychło dobieje się jakiegoś pewnego kawalka chleba — postanawia pogrzebać za biurkiem urzędniczym górne nieraz marzenia o prawdziwej wiedzy, o kształceniu się nie ciasnym i formalistycznym, lecz szerokim i pełnym światła? Niejeden z dzisiejszych praktykantów lub koncepcistów marzył o laurach uczonego, albo o katedrze uniwersyteckiej, lecz z powodu braku funduszy skończyło się na trzech egzaminach prawniczych i smutnej wegetacji żywego, rzutkiego umysłu na jałowej grzędzie biurokratycznych formulek. Są ciche tragedje dusz jarzmionych, o których się nie śniło ludziom, co sami nigdy takich tragedji nie przechodzili, lub przeszedłszy, wstydzą się „fantastycznych mrzonek“.

Niebudźmy zatem zbyt pochopni w rzucaniu kamieniem potępienia na młodzież galicyjską i pamiętając zawsze o przykrych warunkach bytu zmuszających ją do rychłego i wydatnego zarobkowania, strzeżmy się obarczać ogół jej zbyt jaskrawymi zarzutami.

Nie szafujmy zwłaszcza zarzutem „karjerowiczostwa“. Jest on zbyt ciężkim, by go można wypowiadać na oślep i bez zastanowienia. Łatwo komuś wyrzucić krzywdę, lecz naprawić ją — rzecz trudna, a często i niemożliwa.

pożogi, runęły z ogromnym hukiem krokwie budynku i pokryły szyb morzem płonących belek, desek, gontów, lin i smolnych konopi.

— Ocalone szyby — śmiał się burmistrz — ocalone!

A tam w śródmieściu dogorywał jego dom.

Sądny dzień Bóg zesłał. Chmara żołdactwa rozsypała się po mieście, przetrząsając domy mieszczkańskie, zabierając wszystko, co pod oczy podpadło, co łatwo było unieść i łatwo sprzedać.

Jeśli gdzieś w domu nie było grosza, krępowano gospodarza i bito tak okropnie, aż się przyznał, gdzie ukrył swoje mienie, lub zakopał swój dorobek. Żołnierz dawno nie widział żołdu, a teraz pan pułkownik Rejer pozwolił mu wydobyć sobie żołd z procentem z mieszkańców miasta Bochni. Do straszego i o pomstę do nieba wołającego gwałtu przyswiecało wojskom Karola Gustawa w płomieniach stojące pół miasta. Nikt nie próbował nawet domu ratować, chcąc przedewszystkiem ratować życie. Tłumy kobiet uciekało w pobliski las kolanowski, wynosząc na rękach dzieci, prowadząc pod ramiona chorych, którzy zdołali wydostać się z pożogi.

Na górnym rynku wolnym od ognia stał JM. Pan Rejer z oficerami. Śnać przyzwyczajony do takiego widoku zatracił serce na nędzę i rozpacz ludzką. A może sumienie utopił w nadmiarze trunku, kompania bowiem śmieje się na koniach, zagaduje do siebie wesoło, a pan obersterlajtnant Berg tak zatacza konia, takie ma mgławce jakieś od trunku oczy, że tylko z konia spaść i w rynsztoku żywo zakonać.

Zabiegła pułkownikowi drogę gromada ławników i rajców miejskich.

— Ulituj się wasza miłość, każ zaprzestać rabunku i pożogi.

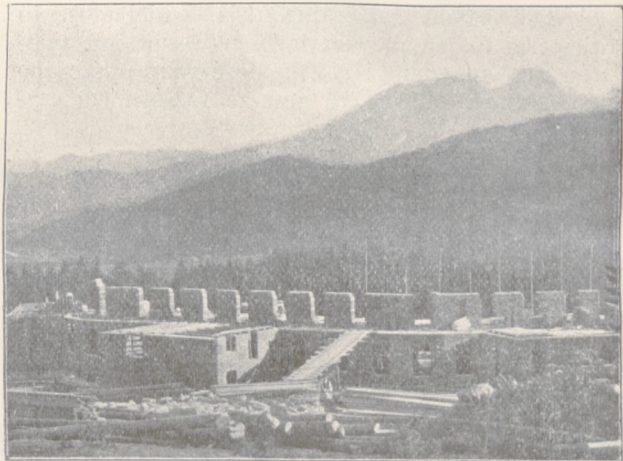
— Samiście sobie winni. Wiem na pewno że pieniądze żupy są ukryte i wydać ich nie chcecie. Wyśpiwacie wy wszystko na torturach. Nie chcecie dać wojskom żołdu, sami sobie bierzem.

W sztabie nie widać polskich rycerzy, bo oni

Sanatorium dla chorób piersiowych w Zakopanem.

Za kilka dni rozpocznie się w Zakopanem dalsza budowa pierwszego polskiego sanatorium dla chorób piersiowych. O pożytku i potrzebie takiego sanatorium zbyt mocno mówić. Medycyna dawno już rozstrzygnęła zasadę systematycznego leczenia chorób piersiowych w zamkniętym zakładzie pod ścisłą kontrolą lekarzy. a ostatni zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie gorąco poparł budowę w kraju odpowiednich sanatoriów. Zakopane posiada najlepsze warunki dla sanatorium chorób piersiowych. Powstaje ono na południowym stoku Gubałówki, zasłaniającej całą dolinę zakopiańską, a więc i gmach sanatorium, od zimnych wiatrów północnych. Zbocze Gubałówki wolne jest w znacznej mierze od wiatrów halnych i od wiatrów zachodnich, tak zwanych orawskich. Pomimo to nadano budynkowi taki kształt, że zgięte skrzydła same przez się chronią od wiatru, a leżalnia będzie zupełnie spokojna i zaciszna.

Sanatorium dla suchotników w Zakopanem.



Obecny stan robót.

Cały grunt dla sanatorium nabyty, z przeszlicznym widokiem na łańcuch Tatr i na Gewont z jego szczybą wynosi 14 morgów. Sanatorium więc będzie miało zapewnione trzy ważne warunki: wystawę południową z silną insolacją, osłoniętą od wiatrów i znaczny obszar gruntów, oddalonych od Zakopanego o 3 kilometry. Do zakładu prowadzi 1/2 kilometrowa droga, będąca odnogą szosy z Zakopanego do Kościelisk, stanowiąca prywatną własność zakładu. Połowa

13 MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Ciąg dalszy.

— Szyby ratować przedewszystkiem musimy, wołał Grotkowski. Niech się pali miasto, byleby tylko ogień w żupę się nie dostał. Święta sól sto takich miast jeszcze wybuduje. Gdyby tam żagiew wpadła i podpaliła wyprawę, zginęliśmy my, zginie najdroższa perła w koronie Rzeczypospolitej.

Zeskoczyli górnicy przed szybem Floris i tu rozpoczęła się okropna, rozpaczliwa walka ze wściekłym żywiołem.

— Mości burmistrzu zawołał kruszak, patrz no waszmość, na dachach twojego domu widać języki płomienia. Twój warsztat garbarski gore....

Burmistrz popatrzał na swój dom, zbladł jak trup, a lży stanęły mu w wytrzeszczonych oczach.

Siwe wargi wyszeptaly:

— Szyby Rzeczypospolitej pierwsze.

I jak wściekły rzucił się na ratunek.

Wyrąbano zachodnią, mało ogniem jeszcze zajętą ścianę, rozerwano osekami stojące w płomieniach dachy. Po półgodzinnej, wyczerpującej wszystkie siły pracy, ukazała się w palących budynkach czarna czeluść, przez którą widać było krokwie, otaczające szyb do koła.

— Szyb nienaruszony.

— Ziemi! ziemi!

Wnet znalazło się z okolicznych domów kilkadziesiąt tacek, a sto rąk jęło rzucać bryły ziemi, kamienie i rumowiska, które na pokrywające szyb deski jakby na wieko trumny z hukiem padały. Z radością patrzył Grotkowski, jak mogiła na szybko rosła, jak wznosił się do góry pagórek czarnej, wilgotnej ziemi.... Wnet pokryła ona szyb grubą warstwą, której ogień już przetrwać nie będzie w stanie.

— Niech się teraz pali.

W kilka chwil, gdy ludzie oddalili się już od

wespół ze Szwedem po mieście grasują. IM. Pan Wojszbillo złupił dom burmistrza, towarzysze zaś IM. Panowie Orszawski, i Jasiński przetrząsają najbogatsze w mieście ulice Różową i Rzeźnicką. Zaci ci obywatele byli naturalnym wykwittem ówczesnych burzliwych czasów, typem zawodowego żołnierza, którego rzemiosłem była wojna, narzędziem do zdobycia chleba szabla, a sposobem do życia wszelaka zbrodnia i krzywda ludzka. W ciemnej tej tłuszczy nie było ani krzty jakiegokolwiek idei lub myśli politycznej, jakiegokolwiek poczucia patriotyzmu, a nawet świadomości narodowej.

Taki proletaryusz wojny nie dbał za kim się bije, o kogo się bije, dopóki płacił król żołd, bił się w szeregach królewskich, brakło tam pieniędzy, szedł w szeregi Lubomirskiego bić króla, łączył się ze Szwedem godzić w serce rodzonej swej matki ziemi. Nierządką rzeczą było, że żołnierz taki dochodził do mistrzostwa we władaniu orężem, że celował on i górował bohaterstwem i odwagą nad osiadłym na roli szlachcicem z konieczności tylko chwytającym za oręż. Sławna się sławała na kraj szeroki niejedna szabla rębacza z tego, że złożyła trupem kogoś z najznacniejszych i najprzedniejszych w szeregu nieprzyjacielskim, złożyła ona go zaś przedewszystkiem dlatego, że miał bogatszy od innych rząd i piękniejszego bachmata zdobycznego. Dzięki Bogu, że rabunkowe takie i wojenne rzemiosło do najwyższego rozkwitu swego doszło nie w Polsce, ale gdzie indziej w Europie, gdzie żołnierz zaciężny był karą bożą dla ludności, uosobnieniem wszelkiego rodzaju totostwa.

Co do naszych trzech adherentów szwedzkich, to podniecała ich przeciw mieszczaństwu jeszcze i ta żywiołowa niechęć, jaką pałaly do „tyków“ wszystkie nasze sejmy i sejmiki. O ile ową nienawiść przeciw mieszczaństwu łatwo jest historycznie udowodnić, o tyle trudno wyrozumieć, trudno pojąć, co było jej powodem, co ją zrodziło i aż do wielkiego sejmku systematycznie podniecało.

(D. c. n.)

całego gruntu porosła jest w części starym, a w części młodym lasem świerkowym, który też zostanie zamieniony na park spacerowy. Drugą połowę stanowi polana o łagodnym spadku; na niej stanie główny gmach, jakoteż dwa budynki dodatkowe, a mianowicie dom maszynowy stajnie. O drodze prywatnej tyle godzi się powiedzieć, że kończy się podjazdem od tyłu gmachu, wskutek czego kurz ani do okien pokoiów mieszkalnych, ani też do leżalni dostawać się nie będzie.

Przejdźmy teraz do samego gmachu. Plany zostały wypracowane przez budowniczych pp. Beringera i Praussa, na wzór innych najlepszych sanatoryjów. Zewnętrzna ornamentyka zostanie utrzymana w miejscowym niezmiernie ciekawym stylu góralskim. Budynek będzie posiadał dla chorych tylko szereg pokoiów, zwroconych na południe; liczba ta dojdzie do 80 pokoiów. Urządzenie mieszkań będzie o ile możności zupełnie aseptyczne, a więc sufity i rogi ścian zaokrąglone, podłogi pokryte linoleum. Ściany wyklejone w części tapetami, będącemi właściwie rodzajem lekkich cerat, nadających się do szorowania szczotkami i znoszących wszelkie środki odkażające, w części, zaś w skromniejszych, a zatem tańszych pokojach malowane olejno. Meble bez kantów i rogów, wszędzie zaokrąglone, polakerowane zewnątrz i wewnątrz. Łóżka będą metalowe, a nieliczne miękkie meble pokryte specjalną dającą się zmywać ceratą. Słowem, całe urządzenie pokojowe poczynając od mebli, a kończąc na sufitych można będzie zmywać wodą. Zamiatanie oraz ścieranie kurzu na sucho, będzie surowo zabronione. Zarówno w całym gmachu jak i we wszystkich pokojach oświetlenie będzie elektryczne, ogrzewanie centralne parą pod niskim ciśnieniem, wentylacja zapomocą oddzielnego komina, a dla każdego pokoju specjalny system wentylacji w kuchni, górne zaś okna, tak zwane oberlufty będą urządzone do otwierania stałego. Ceny, mimo tak znakomych urządzeń zdrowotnych będą niskie w porównaniu z cenami w zakładach zagranicznych i już za 10-11 koron dziennie, będzie można mieć w sanatorium zakopiańskim mieszkanie z usługą i utrzymaniem, dozorem, lekarzem, kąpielami i tuszami.

Lekarze warszawscy pp. prof. Baranowski, Sokołowski i Dunin popierają sanatorium bardzo gorliwie, życzliwie usposabiają dla niego ogół i starają się o zjednanie nowych akcjonariuszów. W Krakowie wszelkich objaśnień udziela i akcyę sprzedaje adwokat Karol Łebkowski, zamieszkały przy ul. Poselskiej l. 9. czyniąc to bezinteresownie, w poparciu potrzebnej i pożytecznej instytucji. Koszta budowy i urządzenie sanatorium obliczono na 730.000 koron, jedna akcyę kosztuje 1000 koron.

Na zakończenie zaznaczyć należy, że duszą całego tego przedsięwzięcia jest znany polski lekarz Kazimierz Dłuski, który pracował szereg lat w zagranicznych sanatoriach i jest znakomitym specjalistą w chorobach piersiowych. On podniósł potrzebę budowy takiego polskiego zakładu; on na miejscu czuwa, by należycie wykonana została, a po ukończeniu obejmie wraz z małżonką swoją, również drem medycyny, kierownictwo zakładu, które słusznym dziełem jego zabiegów i pracy nazwać będzie można.

Uważamy jeszcze za potrzebne wskazać, że sanatorium w Zakopanem nie spowoduje zanieczyszczenia gruntu. Wszystkie odpadki i nieczystości będą się zapomocą kanałów zlewały do dwóch lub trzech po sobie następujących zbiorników, odległych o kilkaset metrów od zakładu, w których osiadać części stałe, po zmieszaniu ich z wapnem lub innym środkiem odkażającym; części płynne (będzie to prawie czysta woda) przepuszczone jeszcze przez przyrząd cedzący (filtrujący) odpłyną do potoku górskiego; części stałe będą co kilka miesięcy wywożone. Plwocina jednak do kanalizacji usuwania nie będzie, lecz po zmieszaniu z torfem będzie palona; spluwaczki zarówno stojące jak i kieszonkowe przed powtórzeniem ulegną wygotowaniu lub wyjałowieniu. System ten daje zupełną gwarancję, że ani nieczystości, ani zarazki poza sanatorium rozchodzić się nie będą.



NA CZASIE.

Zewsząd dochodzą coraz to głośniejsze skargi na paczenie i zanieczyszczanie naszego pięknego języka w słowie i piśmie. Z bolem serca musimy przyznać że są w zupełności uzasadnione. Wziąwszy do ręki pierwszy lepszy dziennik, ba, nawet książkę, wdawszy się w rozmowę z pierwszym lepszym przechodniem, możemy zauważyć, iż nasz cudowny język, który, zdaniem pewnego pisarza polskiego, tylko ze starogreckim może być porównany pod względem jędrności, siły, barwy i dźwięku, ten język Słowackich i Mickiewiczów zaczyna

psuć się i zachwaszczać wstrętnymi naleciałościami.

Przyczyn jest tyle, że nie można by ich spisać na wołowej skórze, lecz główną jest nasza narodowa opieszałość i że tak rzekę, słowiańskie niechlujstwo w posługiwaniu się własną mową w słowie i piśmie. Urzędnik (w których masowej fabrykacji przoduje szanowna kraina złotych kolnierzy i pirogów urzędowych — Galicya) wygotowuje w biurze referaty, stylem sławnym już po całym świecie, stylem urzędowym, który jest wszędzie jednakowy: we Francyi, Niemczech, Austrii czy Rosyi, wszędzie jednakowo wstrętny i drący się za włosy z duchem języka; pisze nim przez 8 godzin dziennie, potem pracuje jeszcze w domu i nakoniec ani się spostrzeże, jak wstrętny szyk wyrazów, niektóre zwroty urzędowe lub techniczne wyrażenia wejda mu w krew i kości, staną się integralną częścią duchowej jego istoty i zapuszczą raz na zawsze korzenie w duszy, tak, że z czasem nie będzie już mógł pisać inaczej, jak »extra-Wurstem«, recte »kielebszą urzędową«, najohydniejszym z ohydnych stylów, w którym podmiot i orzeczenie zdania głównego stoją na dwu krańcach mostu, utworzonego Bóg wie przez ile zdań względnych, pobocznych, wtrąconych etc. etc. etc.

To jest jedna plaga naszego języka.

Drugą jest bezwarunkowo wtrącanie obcych słów, czyli makaronizowanie.

Język polski ma już i tak masę wyrazów wziętych z obcych języków a spolszczonych przez wiekowe używanie w mniejszym lub większym stopniu. Trzeba wszakże przyznać że w porównaniu z innymi narodami słowiańskimi, Polacy mieliby jeszcze w samej mowie stosunkowo nie wielką ilość wyrazów cudzoziemskich, gdyby nie ich własne niedbalstwo, lub głupia chęć popisania się ze znajomością obcych języków. Wtrącanie wyrazów francuskich, angielskich lub nawet niemieckich, jest w tak zwanem eleganckim towarzystwie na porządku dziennym. Mówię »w tak zwanem«, bo prawdziwie eleganckie towarzystwo albo mówi czysto po polsku albo też obcym językiem, zostawiając robienie siekaninki z dwóch języków swoim kucharkom i lokajom, którzy połapali niektóre słowa francuskie lub angielskie, powtarzane często przez swoich służbodawców.

Co się zaś tyczy całych zwrotów obcojęzycznych, które tak często zaczynają się naprzykrzać czulszym uszom i oczom bądź w rozmowie potocznej, bądź też w czytaniu, to należy przyznać, iż winną jest tutaj po części łatwość, z jaką Polacy przyswajają sobie obce języki — Żaden też człowiek, należący do innej, w szczególności zaś nie słowiańskiej narodowości, nie potrafi tak szybko popsuć sobie języka jak Polak.

Weźmy np. chłopą wracającego do domu po trzyletniej służbie wojskowej. Język którym wita swoich dawno niewidzianych kumotrów i kumoszki przypomina raczej wszystko inne z wyjątkiem polskiej mowy. Jest to mieszanina języka niemieckiego z rusińskim i czeskim a nierazko węgierskim, mogąca do rozpacz doprowadzić każdego, kto wierzy, iż lud przechowuje starannie czystość mowy. Zapewne, że po jakimś czasie, po czterech czy pięciu miesiącach pobytu na wsi większość tych mętów znika gdzieś bez śladu, ale pewna częśćka zostaje, zakorzenia się przez małpie naśladownictwo w całej wsi, i tworzy już szkałę na brylancie.

W sto razy większym stopniu odnosi się to samo do chłopów służących w wojsku moskiewskim, gdyż język rosyjski posiada tyle słów, dźwięków i zwrotów zbliżonych do polskiego, że ani się można spostrzedz, jak rdza rusycyzmu osiada na wymowie, szyku wyrazów i całych zwrotach, ucho zaś po jakimś czasie przestaje całkiem odróżniać błędy, popełniane co chwila.

Ja sam miałem sposobność przez czas pobytu w głębokiej Rosyi porównywać rusyfikację języka u Polaków, z rusyfikacją mowy u Niemców. Na setkach przykładów stwierdziłem, że Niemiec po dziesięciu i dwudziestu latach przebywania w Rosyi nie nauczy się nigdy dobrze po rosyjsku, ale też niemieccyzna jego pozostanie zawsze świeżą i nieskażoną. Polak za trzy miesiące *gawarił* jak urodzony Moskwin, ale w miarę nabierania wprawy we władaniu językiem rosyjskim, zaczyna psuć sobie polską wymowę. Zrazu wtrąca pojedyncze słowa z języka Pobiedonoscewów, potem zaczyna mieszać całe zdania, aż nakoniec mówi słowami polskimi, lecz z zachowaniem składni i zwrotów rosyjskich. Nawet spadek głosu, ton, którego używa, zaczyna nabierać tej charakterystycznej śpiewności, po której można poznać Polaka co przebywał długo w głębi Rosyi.

Jest to fatalne następstwo wielkiego podobieństwa obu języków, które sprawia, że w uchu mówiącego nimi długo, zlewają się obydwa w jedną całość, tak, że potem nie można odróżnić, do którego języka ten lub ów zwrot właściwie należy.

Na zakończenie nie mogę pominąć milczeniem jeszcze jednej rzeczy.

Dużo mówi się u nas i pisze o odporności żywiołu polskiego w Królestwie względem zakusów rusyfikacyjnych. Warszawa służyła do nie-

dawna za wzór nie tylko pięknej dykcji pod względem spadku i modulacji głosu, lecz i czystej mowy polskiej. Dziś śmiało już można powiedzieć, że czasy, w których tak było — minęły powrotnie. Dziś w Królestwie mówią po polsku gorzej, niż pod zaborem austriackim. Przesiąkanie rusycyzmów odbywa się tam obecnie na olbrzymią skalę, a poparte niedbalstwem wróży językowi niesłychane skażenie w niedługim już czasie. Dostyc wzięć do rąk pisma warszawskie nadziane formalnie takimi zwrotami i słowami jak »reskrypt na imię jenerała X.« »cesarz pił za pułk symboliczny« »rozplącić się, rozliczyć się« ba, nawet »rozklaniać się,« (w znaczeniu zamienienia z kimś ukłonu) »tok elektryczny« zamiast »prąd« i tp. Jest to smutne następstwo rusyfikacji w szkołach, w urzędach i w ogóle w całym życiu publicznym. O opieraniu się jej słyhać bardzo wiele, lecz język, niepoprawiany w domu z tych błędów, których nabiera w szkole czy w urzędzie — zaczyna psuć się i zanieczyszczać.

A cóż dopiero mówić o Poznańskim? Wstyd mi poprostu wyliczać ohydne błędy i wstrętne germanizmy grasujące po tamecznej polszczyźnie! Język, którym piszą dzienniki pod zaborem pruskim urąga wszelkiemu opisowi. Serce się ściska czytając te niesłychane, o pomstę do Boga wołające germanizmy, podawane czytelnikom jako język ojczysty. Najboleśniej jest zaś to, że zepsuciem języka odznaczają się przedewszystkiem pisma ludowe, te, które właśnie powinny dawać przykład, jak się ma pisać i mówić po polsku.

Tym, którzy by mi zarzucali zbyt czarne patrzenie się na stan rzeczy, radzę wziąć do ręki »Kuryera warszawskiego« »Codziennego« »Dziennik Poznański« »Kuryera Poznańskiego« i »Katolika«. Jednorazowe przeczytanie tych pism wystarczy im do przekonania się, że język polski jest zagrożony w zaborze rosyjskim i pruskim skażeniem się w sposób wstrętny i bardzo niebezpieczny.

Dlatego też Polacy winni dziś bardziej niż kiedykolwiek zwracać uwagę na czystość swej przepięknej mowy, która niestety jest tak strasznie zagrożoną. Obowiązkiem uczciwych rodziców polskich jest naprawiać w domu te szczyby, które w polszczyźnie synów poczynił bądź ucisk (jak np. w Królestwie i Poznańskim), bądź też własna niedbałość młodego pokolenia. Wszyscy powinni wziąć się do pracy, celem zapobieżenia dalszemu psuciu się języka. Niech każdy poczyta sobie za obowiązek nie tylko uważać na to, jak sam umie i mówi, lecz także w grzeczny i uprzejmy sposób drugim zwraca uwagę na ewentualne niewłaściwości. Ręczyć można iż żaden człowiek inteligentny nie obrazi się za taką poprawkę, wiedząc, iż powodem jej nie była zła wola, lecz chęć przysłużenia się dobrej sprawie, na której wszystkim bardzo powinno zależeć.

Język, to pas ratunkowy utrzymujący nas na powierzchni wrogich zalewów. Szanujmyż go i przestrzegajmy jego czystości, pamiętając o tem, że naród, nieumiejący uszanować swej mowy, przestaje być wart bytu politycznego, nawet jeżeli go posiada, a traci możność odzyskania go w razie poprzedniej utraty...

Pertinax.



Adolf Flachs.

Moje i twoje.

Pewnego pięknego popołudnia otwarły się nagle nad wsią Ghioceni z przyległościami upusty niebieskie i strumienie wody, pochodzące z oberwania się chmury, zwały suche ścieżki i gościńce wioski węgierskiej.

Pisarz gminny podczas chwilowej nieobecności wójta gminy, pan i władca całego Ghioceni, ucieszył się niezmiernie z tego zjawiska przyrody, gdyż dało mu ono możność zapisania w gminnej księdze kasowej następującej pozycyi:

Wydatki:

17. czerwca. Staranne skropienie i oczyszczenie gościńca 4 zlr. 50 ct.

Dla porządku przetransportował pan pisarz natychmiast quantum monety odpowiadające tej pozycyi, z kasy gminnej do swojej prywatnej kieszeni.

Oberwanie się chmury zrobiło wprost przeciwnie wrażenie na umyśle cygana Purvo. Purvo zasnął w polu, gdzie pasł małe, lecz bardzo dystygnowane towarzystwo złożone ze świń. Huk grzmotu i grube krople padające z nieba obudziły go. Z gniewem spojrzął ku niebu, które mu chciało umyć twarz, gdyż do wody uczuwał zawsze wstręt niepohamowany.

Grzmoty i błyskawice zaniepokoiły wielce pupilów cygana, które też puściły się truchcikiem. Purvo, zdecydowawszy się bardzo prędko, wskoczył na grzbiet olbrzymiego wieprza i pojechał

za stadem. Wkrótce całe towarzystwo przybiegło przed szalaz, którego drzwi stały otworem. Gospodarza nie było w domu, lecz cygan pocieszył się tem, że w miejsce człowieka zastał tam tytoń, wódkę, kielbasę, ser i chleb. Wszystko to smakowało bardzo Purwowi, który, czując że żołądek jego nie pomieści tych wszystkich zapasów, schował pozostałe resztki do kieszeni.

Astronomowie do dnia dzisiejszego zastanawiają się nad tem, dlaczego deszcz, lejący ciągle jak z cebra, w jednej chwili ustał, a niebo zabłysło przepyszny szafirem. Przyczyna tego fenomenu nie została jeszcze zupełnie wyjaśniona: faktem

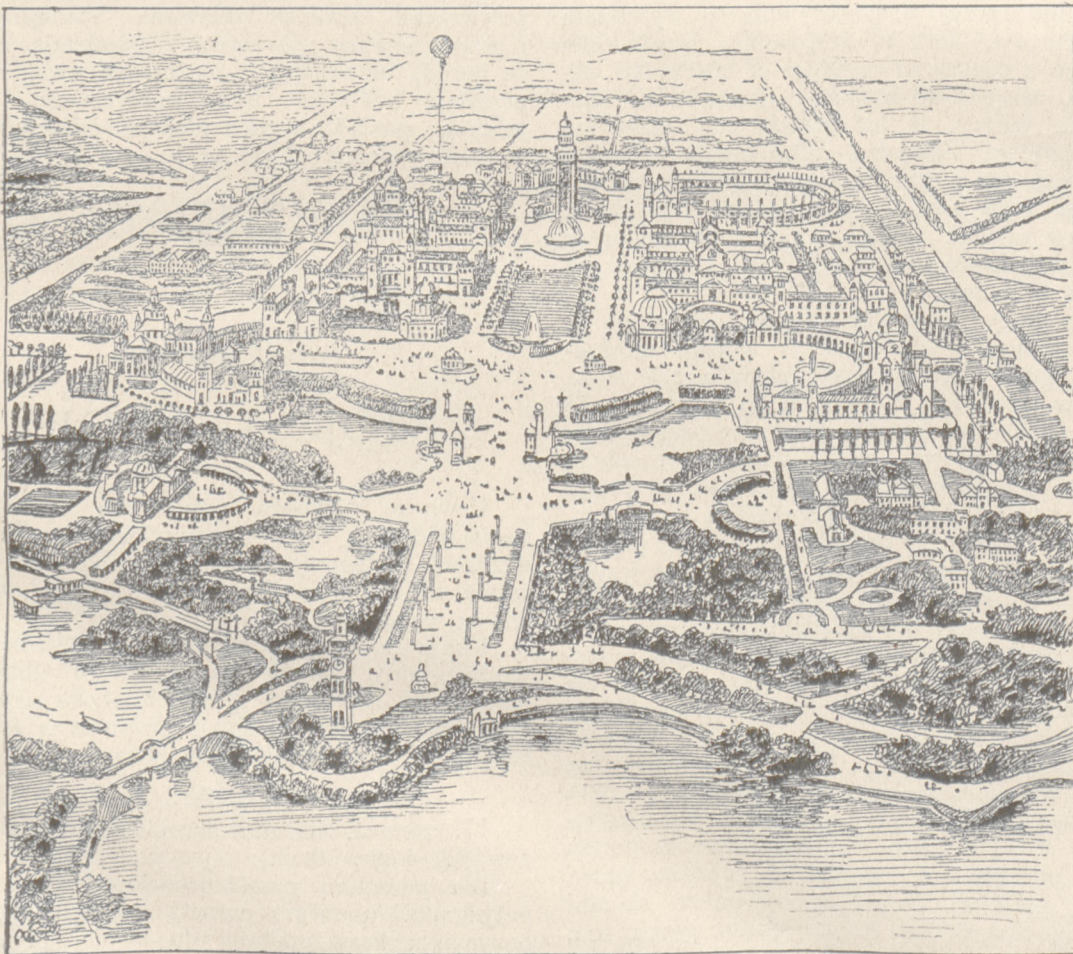
Nowy minister oświaty w Rosyi.



Piotr Wannowski.

historycznym jest natomiast, że Purwo wraz ze swoimi wychowawcami za pierwszym promykiem słońca opuścił corychlej szalaz i zatrzymał się dopiero o pół godziny drogi od miejsca swojej dotychczasowej działalności. Z ziemi rozmiękczonej deszczem zrobił sobie wygodne postanie i rozciągnął się na niem jak długi. Złote światło słońca rozlane po polach, gniewało go wielce.

Wszechamerykańska wystawa w Buffalo.



Widok ogólny.

— Co mi z tego złota, skoro go nie mogę zabrać i kupić sobie coś w szynku — pomyślał. — Poproś słońce wystrycha ludzi na dudków. Hej, hej, co by to można dostać za taką odrobinę złota, niedużo, tyle tylko ile można ująć w obie ręce. Flaszkę sznapsa, trzysta pęczków czosnku, całą chałupę słoniny, stodołę tytoń, chleba i mamaligi tyle, że możnaby niemi napelnić

kościół we wsi, a kielbasy toby wystarczyło aż do — daj Boże jak najpóźniejszej — śmierci. No, toby był bogaty i szczęśliwy! Niczem cesarz!.. Wogóle świat jest dosyć głupio urządzony, po co są n. p. ubodzy, bogaci, po co w każdej wsi siedzi pisarz gminny, który, mojem zdaniem, jest tylko po to na świecie, aby zatruwać bliźnim życie? Jaby to wszystko inaczej urządził: każdy człowiek byłby bogaty, każdy byłby cesarzem; czosnek, sznaps, chleb i słonina byłyby do swobodnego rozporządzenia wszystkich; pisarzy gminnych możnaby bezkarnie grzmocić, psy nieśmiałyby przychodzić na świat, bo przeszkadzają spać w nocy a w dzień kłają bestye. Tak, tak, gdyby Pan Bóg się był naradził z cyganem przed stworzeniem świata, wszystko by dziś było inaczej i lepiej.

Purwo pociągnął sobie porządnie z olbrzymiej flaszki właściciela szalazu, położył się na brzuchu i stało się to co przewidywał, mianowicie zasnął i zbudził się dopiero po zachodzie słońca. Natychmiast wybrał się w drogę do domu, oddał świnię właścicielowi i podążył ku swojej chałupce, leżącej na krańcu wioski.

Twarz jego promieniała. Właśnie tego samego rana żona jego zarzucała mu w niebardzo eleganckich wyrażeniach że nie jest cyganem z krwi i kości, gdyż w takim razie znajdowałby częściej srebrne łyżki, gęsi, owoce i jarzyny. Niepoprzedzając na tych obraźliwych enuncyacjach, pani Purwowa była tak niegrzeczną, że rzuciła swojemu mężowi na głowę garnek napelniony klejem. Teraz pomści się on na małżonce — latoroślom swojego rodu da trochę z tego, co przyniósł ze sobą, a stara niech się gapi i łyka slinkę.

Wszedłszy do chałupy zobaczył zaraz strażnika wsiowego, Michaja.

— Ach, dobry wieczór, panie kapral — zawołał Purwo, udając ucieszonego, podczas gdy nogi trzęsły mu się ze strachu.

Ale Michaj, zamiast odpowiedzieć na to grzeczne przywitanie, zawładnął odrazu prawem uchem Purwy i zaczął je tak silnie ciągnąć, że właściciel musiał iść za nim. Po jakiejś pół godzinie doszli obaj razem do kancelaryi urzędu gminnego. Tutaj dopiero Michaj puścił czerwone ucho ofiary.

Pisarz gminny dał strażnikowi znak do odstąpienia, poczem zwrócił się do Purwy ze słowami:

— Znowuś kradł, łajdaku?
— Ja — krasć, wielmożny panie? To nie możliwe — odparł Purwo, składając pełne uszanowania ukłony.
— Dlaczego niemożliwe, szubrawcze?
— Dlatego, że ani nie znam, ani nie rozumiem słowa „krasć“. Gdyby pan pisarz był taki dobry i zechciał... to taka mała rzecz!

Niemiecki następca tronu w Wiedniu.



Fryderyk Wilhelm, następca tronu niemieckiego.

raz. Za pierwszym razem to była moja czaszka, za drugim był twój osli łeb. Czyś pojął teraz?

Purwo poskrobał się w miejsce uderzone i odparł:

— Jeszcze nie całkiem. Za drugim razem to była moja głowa a pan powiedział coś o oslim łbie...

— Dosyć tego! Dziś po południu ukradłes z szalazu strażnika połowego kilka przedmiotów służących do użytku domowego.

— Ja? a niechże Bóg broni! Co, jaby...! Byłem tam przecież w gościnie.

Pisarz trzymał się za boki ze śmiechu.
— Łotrze! W nieobecności strażnika zarleś, piłeś, paliłeś i nazywasz to wizytą?

Purwo z całym podziwem popatrzył na swego nieprzyjaciela... Jak on to zaraz wyszperał kto był w szalazie?

— Panie pisarzu — odpowiedział cygan — strażnik jest człowiekiem znanym z gościnności. Przecież ja uczyniłem tylko to, do czego on by mnie z pewnością zaważwał, gdyby był w domu. A to przecież chyba nie może być zakazane.

— Słuchaj łajdaku, ja bardzo wątpię aby jego gościnność posuwała się aż do dania ci na drogę wszystkiego, czegoś nie zjadł.

— Naturalnie. Czy mogłem jednak zostawić to wszystko w niezamkniętym szalazie? A nużby przyszedł jaki złodziej i ukradł wszystko? Z wdzięczności za te dobre rzeczy, które pocziwy strażnik dla mnie przygotował, zabrałem ze sobą resztki po to, aby mu je jutro oddać.

— Cicho, sroko. Przedewszystkiem połóż no to, co jeszcze zostało, tutaj na stole.

Purwo posłuchał, bo i cóż miał począć, lecz serce ścisnęło mu się z bóleści i gniewu.

Pisarz schował wiktuały do trzech kieszeni swojego paltota i przesłuchanie zaczęło się na nowo.

— A więc kochany Purwo, przyznajesz żeś ukradł strażnikowi co następuje: przedewszystkiem...

— Przepraszam pana pisarza... ja mam taką słabą pamięć... żeby przypadkiem nie zapomniał... czy wielmożną panią pisarzową nie bolą znowu zęby? byłbym bardzo szczęśliwy gdybym mógł jej wyrwać kilka zębów... właśnie kupiłem nowe obęgi do wrywania zębów koniom. Naturalnie zrobił bym to za darmo... Przecież od żony mojego dobrodzieja nie wypada mi brać pieniędzy. Prawda, wszak to jutro imieniny wielmożnej pani; gdyby mi wolno było przyniósłbym jej prosiaczka, śliczne zwierzątko, do pocałowania... Dostałem je od mojego dziadzi.

— Słuchaj obwiesiu — rzekł pisarz po krótkim namyśle — tym razem daruję ci jeszcze, ale uważaj!... Na drugi raz dostaniesz wały i pójdziesz do kozy... A co do prosięcia to moja żona odkupi je od ciebie, jeżeli nie będzie za drogie. A teraz zabieraj się, marsz.

Purwo oddalił się wielce zasmucony. Teraz musiał ukrasć prosiaka i to nie dla siebie, tylko dla tej grubej pisarzowej. Gdyby go tak złapali, no! Ach, świat jest strasznie głupio urządzony! Poco ci pisarze na nim istnieją. Poco jest „moje i twoje“?...

W dwie godziny później ukradł najbogatszemu chłopu we wsi dwa prosiaki. Jeden z nich, większy, został jeszcze tej samej nocy przez szlachetną rodzinę Purwów pozbawiony życia, upieczony

i zjedzony. Drugiego oddał Purvo nazajutrz zrana w kuchni u pani pisarzowej jako podarek imiennowy dla żony swojego dobrodzieja.

Pan pisarz był sprytnym urzędnikiem i dobrze umiał śledzić złodziei, ale tym razem nie doszedł, kto ukraść najbogatszemu chłopu we wsi dwa tłuste prosiaki.



ks. Adama Czartoryskiego i w rozmowie oświadczył: „że powstanie było wielkim błędem, a zamach na życie wielkiego księcia Konstantego czynem wprost nieszlachetnym; że Polacy nie mają żadnego prawa żądać prowincyi, od dawna w skład państwa rosyjskiego wchodzący, i dlatego Anglia nie może się podjąć pośrednictwa między carem i jego poddanyimi, tem mniej przyjmować rolę sędziego w sporze bezprawnym. Przytem nie

kwie i Dreźnie. Korzystając z amnestyi, w 1833 r. wrócił do kraju i osiadł w Książu wielkim, pracując dalej nad wykończeniem własnego wykształcenia. Mówią, że dokładał wszelkich starań dla zniszczenia śladów podanej przez siebie noty do rządu angielskiego, lecz Paśkiewicz posiadał jeden egzemplarz tej noty i przejrzał doskonale, lepiej od swych późniejszych następców, czem mianowicie jest Wielopolski. Długo też nie zezwalał na jego

Sport amerykański.



Gra w piłkę nożną, zwaną „rugby“.

Margrabia Wielopolski.

(Ciąg dalszy).

Nastał rok 1830. Wielopolski wybrany do sejmu, należał do umiarkowanych i zasiadł na prawicy. Olrych, także poseł sejmowy, zasiadał na lewicy i należał do partyi Lelewela.

Sport amerykański.



Scena z gry w piłkę nożną.

Gdy w samym początku rewolucyi rząd narodowy wysyłał pełnomocników do państw zagranicznych Wielopolski otrzymał misję do Londynu, dokąd wyjechał za szwajcarskim paszportem, wystawionym na imię jakiegoś de Paquier, pedagoga. Po długich staraniach uzyskał posłuchanie u lorda Palmerstona dnia 10. stycznia 1831 roku w tegoż biurze przy Downing-Street. Palmerston przyjął margrabię jako „podróżującego Polaka“, zaopatrzonego w listy polecające

widzi w tem żadnej korzyści ani konieczności dla Anglii. (*Nous avons le droit d'intervenir en Pologne, mais nous n'en avons pas l'obligation*).“ To samo powtórzył następnie raz jeszcze w parlamencie w 1863 roku).

Wielopolski w odpowiedzi wyraził możność, że Polacy doprowadzeni do ostateczności, przeniosą pojar walki do Galicji, w Poznańskie, do Turcji i Persyi, wskutek czego, wobec ogólnie panującego wzburzenia umysłów we Włoszech i w Niemczech, łatwo może niepokój ogarnąć szerokie przestrzenie; że w końcu Anglia będzie musiała wyjść ze swej neutralności. Czy nie byłoby więc rozsądniej, zawczasu zapobiegając takiej ewentualności, od razu przyjść z pomocą Polakom?

Na to Palmerston, cofnąwszy się parę kroków, po małej przerwie powiedział: „Zapominasz Pan, że przyrzekłem Pańskiemu rodakowi, przyjąć Pana jako jego przyjaciela i podróżnika, nie więcej. Jeśli zaś Pan zaczynasz rozprawę w sposób i tonem osoby oficjalnej i chcesz usłyszeć moje zdanie jako ministra, to nie mogę dać Panu żadnej odpowiedzi.“

Poczem zapytał Wielopolskiego, czy długo jeszcze zamysła zabawić w Londynie, dając do zrozumienia, że jak najprędzy jego wyjazd byłby bardzo pożądanym. Podana następnie nota — tyleż skutku odniosła co i osobista rozmowa.

Gdy następnie przybył do Londynu drugi wysłannik rządu narodowego, Aleksander Walewski, z projektem ofiarowania korony polskiej jednemu z arcyksiążąt austriackich, Wielopolski uczuł się tem dotknięty i wrócił w czerwcu 1831 roku do Warszawy.

W owym czasie przebywał w Londynie, jako trzeci agent rządu narodowego, sędziwy Julian Ursyn Niemcewicz. Ten także robił jakieś zabiegi i starania... w końcu zniecierpliwiony swoją fałszywą pozycją — jako prawdziwy poeta zapytał kategorycznie lorda Grey'a: „Powiedz mi Pan otwarcie, czy zrobicie co dla Polski, czy nie?“ Grey odpowiedział: „Nic nie zrobimy“. —

Po wzięciu Warszawy Wielopolski wyjechał za granicę na jednym wózku z Maurycym Mochackim i przebywał następnie w Rydzynie, Kra-

powrót a nawet, jak zapewniają, chciał go zupełnie z amnestyi wyłączyć.

Sztywna duma i tzymanie się miejskich zwyczajów w wiejskiej rezydencji Wielopolskich lodowata atmosfera, otaczająca osobę gospodarza, nie zachęcały wcale sąsiadów do odwiedzin. W Książu życie upływało spokojnie, nikt mu nie przeszkadzał w pracy.

W liczbie wybranych, bez obawy przestępujących wysokie progi margrabiowskiej rezydencji, był bogaty obywatel z Ukrainy, człowiek rzadkiego rozumu i wykształcenia, Konstanty Świdziński, który życie swe poświęcił namiętnemu gromadzeniu ojczystych pamiątek i zabytków. Przebywał przeważnie na Ukrainie, lecz od czasu do czasu zjeżdżał do Królestwa, gdzie posiadał piękne dobra, klucz Sulgostowski, w sąsiedztwie posiadłości margrabięgo i tu się spotykali. Znajomość zaś ich datowała się od sejmu rewolucyjnego z 1831 roku, na który obaj posłowali. Potem często się spotykali za granicą.

Świdziński odwiedził Sulgostów w 1835 roku. Przyjaciele z bólem serca przypatrywali się, jak

Sport amerykański.



Scena z gry w piłkę nożną.

wojenna dyktatura niweczyła i burzyła ostatnie liberalne urządzenia kraju. Upadek powstania, rozporządzającego doskonałą, stutysięczną armią i znacznymi pieniężnymi środkami, będącego w posiadaniu wszystkich fortec w kraju, był nadzwyczaj pouczający dla tak rozumnych ludzi i dowodnie przekonywał o płonności wszelkich przyszłych zbrojnych pokuszeń powstańczych. Jeśli walka, podjęta w takich warunkach, została przegrana, cóż będzie z innymi, opartymi na biednych kosynierach! Spokojna rozważa narzucała dla każdego polskiego patrioty inne drogi w przyszłości, wymagała spisku, ale innego, w którymby stanowczo odrzucono wszelką myśl walki z potężnym wrogiem w otwartym polu, jako marzycielskiej, bezrozumnej i występnej. Do jakich wyników dochodzili oni w swych poufnych rozmowach, nie wiemy. Jedynie, co może historyk dostrzedz — to powzięte w umysłach przyjaciół postanowienie „złożenia w bezpiecznym miejscu wszystkiego, co sami i ich przodkowie potrafili zgromadzić z zabytków świetniejszej przeszłości, i zbiory te uczynić dostępnymi dla uczonych i wogóle żądnych nauki Polaków“. Podówczas żadne inne działanie nie było możliwe; groźna postać z gwiazdą św. Jerzego na piersi, przechadzała się i nad brzegami spokojnej Nidy i zaglądała we wszelkie zakątki.

Niewiadomo, jak obszerne miało znaczenie to określenie „bezpiecznego punktu dla zjazdów uczonych“ — w umysłach dwóch przyjaciół, gdy czasami, rozgrzani złotym i gęstym jak oliwa płynem, przypomnieli w głębi duszy odgłosy trąb legionistów... wiemy tylko, że Świdziński, posiadający większe i bogatsze zbiory, nosił się z myślą umieszczenia ich w Krakowie, wówczas jeszcze wolnej Rzeczypospolitej.

Przyjaciele rozstali się wszakże bez doprowadzenia swych zamiarów do jakiegokolwiek pozytywnego wyniku. Świdziński wrócił na Ukrainę, Wielopolski zaś dalej czytał, pracował i marzył o przyszłych losach ojczyzny w swym Książu...

Naraz spokój jego wiejskich zajęć został przerwany. Przegrany w apelacji proces przeciwnicy przenieśli do senatu i zapozwali Wielopolskiego do Warszawy.

Wskutek zabiegów i zreczenie rozsiewanych wiadomości i artykułów dziennikarskich, opinia Warszawy a nawet całego kraju zwróciła się przeciw Margrabiemu. Wyrok apelacyjny, słusznie czy nie słusznie, pozbawiał wiele rodzin mienia i wypędzał je z zagród, w które włożyli pracę swą i kapitały, nie myśląc o żadnych zawikłaniach w przyszłości. Trudno było nie wołać w niebogłosy.

Margrabia w oczach opinii publicznej stawał nietylko jako zimny, bez serca arystokrata, lecz nadto jako zacofany, szkodliwy samolub, wróg nowych idei i porządków. Uapływających z każdym zachodnim powiewem wiatru ze wzburzonej do głębi Europy. Nazywano go pieniaczem i krętaaczem z rzemiosła — i gdzie? — w kraju pieniaczta i prawnych subtelności, gdzie niemal każda mucha na pamięć umie, jak wszcząć proces i jakie znaczenie ma pan rejent; gdzie nieomal każdy, rozmawiając z drugim, waży każde słowo, by nie dało ono jakiej podstawy do wytoczenia sporu.

W sali posiedzeń warszawskiego senatu, w czasie ostatniej, stanowczej rozprawy zapanowała grobowa cisza, gdy zaczął mówić osobiście broniący się Margrabia i gdy zdawało się zebranych, że sprawę swą może wygrać. Żadnego głosu, żadnej oznaki współczucia. Cóż za różnica, gdy w imieniu strony przeciwnej zabrał głos mecenas Jan Tadeusz Wołowski, starzec już w podeszłym wieku. Wszyscy się na raz ożywili, każde słowo obrońcy było przyjmowane z widocznym współczuciem, a gdy ku końcowi, starzec, czy to ze wzruszenia, czy też może wskutek nerwowego rozdrażnienia, rozplakał się — sąd i publiczność opanowało niewysłowione wzruszenie. Okoliczność ta przechyliła szalę na jego stronę. Wielopolski sprawę przegrał.

Następnie Margrabia prowadził kilka jeszcze procesów z rodziną i z obcymi. Mówiono, że takich spraw miał siedmdziesiąt. Jedne wygrywał, drugie przegrywał. Wiele z tych spraw podejmował, jakby się zdawać mogło, jedynie dla zabicia czasu, zajęcia rąk i głowy, dla wprawy umysłowej — tak jak inni ćwiczą się żelaznymi ciężarkami dla wyrobienia siły mięśni. Czytanie i samo czytanie, od rana do nocy, chociażby czytane rzeczy były najciekawsze i najgenialniejsze, znudzi i zmęczy swoją jednostajnością. Wielopolski obawiał się tej nudy, tej zabójczej ociężałości i prostracyi umysłowej. Dokładał więc wszelkich usiłowań dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa, ale nie mógł znaleźć żadnego wyjścia.

Często opanowywały go czarne i posępne myśli. W wydanych przez niego w owym czasie „Myślach i uwagach“ znajduje się następujący ustęp: „Nie tak nie czyni duszy człowieka przystępną złemu, jak brak wyraźnego przeniknięcia się jakimś powołaniem i zatrudnieniami swego stanu. Lepsze jest powołanie gorzkie, ciężkie, połączone z cierpieniami, które może nad miarę osobistość ludzką przyciera, niż próżna zupełna

w życiu, która osobistości bujnie rozrastać się daje.“ —

Od czasu do czasu odpowiadał rodzinę i znajomych, zamieszkałych w różnych stronach Królestwa. Bywał więc i w Klemensowie, a za powrotem ponownie zatapiał się w czytaniu, rozmyślaniu, jeśli go nie powoływała do Warszawy lub do jakiego sądu nowa sprawa procesowa... Wszakże zasoby sił fizycznych nie dawały się dostatecznie spotrzebowywać i Wielopolski nabierał tuszy...

Niedorzeczne powstanie 1846 roku, ta rewolucja z teatralną dyktaturą niezdarne i niepiśmiennego Tysowskiego w Krakowie; rzeź krwawego Szeli, podniecona przez niesumiennych i drżących z trwogi biurokratów; z drugiej zaś strony zwycięskie, bez bitew, proste i nie obliczone na efekt a przez to samo jeszcze większe wrazenie wywierające — wkroczenie wojsk rosyjskich do prastarej stolicy Jagiellonów, (gdy załoga austriacka, powodowana nieczem niewytłumaczoną obawą, miasto to przed niedawnym czasem opuściła) — wszystko to stanowczo wpłynęło na zmianę usposobień, nadziei i planów przyszłości u wielu umiarkowanych Polaków. Wielopolski stanął w szeregu stanowczych zwolenników Rosyi i wydał broszurę pod tytułem: *Lettre d'un gentilhomme Polonais au prince de Metternich*. Paris 1846, w której stanowczo bierze rozbrat z ideą jakiegoś sojuszu z Austrią, i stara się pod wpływem ogólnego podówczas rozdrażnienia do Niemców — pociągnąć swoich rodaków do szeregów zszeregowania się pod sztandarem Rosyi. Stan umysłowy w istocie był bardzo do tego przygotowany i wszystko wrzało nienawiścią do Austrii. Inteligencja i bez upominania panów Wielopolskich starała się wtedy rozwiązać zadanie „w jaki sposób, godząc się na myśl zlania się z sobą tych dwóch tak sprzecznych żywiołów, jak Rosyanie i Polacy, rzecz samą tak poprowadzić, by ostatecznie, chociażby nie zaraz, Ojczyznę ocalić a przynajmniej zapewnić sobie zaszczytniejsze niż obecne stanowisko w tym związku.“ — Wtedy to w innych umysłach zrodziła się myśl „słowiańskiej federacyi“ z Rosją na czele, której w pierwszej chwili przyznawano nawet rolę głównego gospodarza — z tą myślą, by z czasem, przez różne intrygi i praktyki, tego gospodarza sprowadzić do roli gościa, jak to często daje się spostrzegać przy wspólnych uctach i zabawach Polaków z Rosyanami, tak, że wkońcu Rosya pełniłaby tylko obowiązki stróża rozległych granic przyszłego politycznego związku. Jej poruczonoby ciężką, fizyczną pracę, wszelkie zaś zajęcia szlachetniejsze: moralne kierownictwo sił federacyi przypadłoby w udziale starszej w cywilizacji siostrzycy, wypróbowanej w cierpieniach, oczyszczonej i udoskonalonej tem srogiem i krwawem wychowaniem Polsce. Nadto cała słowiańszczyzna, z natury rzeczy ulegając wpływowi tej wyższej cywilizacyi, musiałaby z biegiem czasu spolszczyć. (C. d. n.)



Imieniny stryja Karola.

(Gawęda według pamiętnika)

I.

Tam na dworze zawierucha,
Mocno śniegiem dmie;
Na kominku ogień bucha,
Błyska obok mnie.
Przy kominku z fajką stoje,
Kłębem puszcza dym,
A uczucia wszystkie moje,
Lekko lecą z nim.

Niechaj lecą, jak minęły
Chwile dawnych lat,
Co już wszystko z sobą wzięły
I młodości kwiat.

Za wierność tekstu nie ręczę, boć to już dawne czasy, gdydm się tej pieśni od starych nauczyłem, ale spiewało mi ją echo dawnych lat w pokoju, gdy z końcem stycznia uganiały po mieście: śnieżycy z zawieruchą. Kominka nie mam, bo gdzież go dziś budują, a i paliłoby w nim nie można węglami, ale zawierucha mocno śniegiem dęła, wiatr się do okien dobijał gwałtownie, śnieżycy smagała ziemią, zamiast się na niej ułożyć; wszystko tak, jak w r. 1860 na świętego Karola W.

Nie wiem z jakiej racyi się to stało, że memu stryjowi dano to imię na Chrzcenie śtym, chociaż Karol W. nie żałował krwi słowiańskiej, a przodkowie nasi nie szczędzili germańskich rycerzy jeszcze na „Psiem polu“. Stara Kaczyńska zapewniała, że mój dziadek ogromnie lubił księcia Panie Kochanku i na pamiętąk jego imienia, nazwał jednego z synów Karolem. Ba! ale panie Kochanku był Karolem Boromeuszem, lecz, że chrzciny mego stryja, jakos na 28. stycznia wypadły, zapisał ksiądz dziekan z Tyrawy w metryce Karola Wielkiego i stało się, że polski szlachcic nosił imię

pogromcy Słowian rakuszańskich. Nie byłoby to jeszcze wielkiem nieszczęściem, gdyby nie kalendarz; imieniny w styczniu wypadają, co w mieście obojętne, ale na wsi nie zawsze przyjemne.

Mój ojciec nie chciał być z tych imienin, bo się tam o coś ze stryjem powaśnili, a kwas braterski w afektach solenizacyjnych mógł się nie rozplynąć i winem nie splukać. Ale, że w dziecięcej przywiązaniu rodzinnej i cześć dla starszych, więc posłał z atencją do stryja mnie i mego brata. Brat mój, młody oficer, przebywał na urlopie, a ja, smyk wtedy szesnastoletni, także urlopu używałem, bo mi go na czas dłuższy z gimnazjum udzielono, a z jakiej okazji, to zaraz powiem.

Tym dzisiejszym karakonom studenckim bardzo słodko w szkole, skoro uczą się w języku ojczystym i mają profesorów Polaków, ale za naszych czasów bywało inaczej. Na własnej skórze mam kronikę dawnego szkolnictwa. Pan Pospischill, k. k. *Kreishaupt-muster und unter Realschul Director* w Tarnowie, różgą mi pisał na grzbiecie, że jestem cesarski Galicyanin, a nie Polak. Gdy się moje siedmioletnie przekonanie przeciw temu buntowało i wrzeszczałem na całe gardło, że niema galicyjskiej mowy, więc niema Galicyan, a skoro po polsku mówię, to jestem Polakiem, pan k. k. *Kreis — haupt muster und unter — Realschuldirektor*, zapisał ponownie różgą na mojej skórze, poniżej grzbietu, ów dogmat ówczesnego politycznego systemu.

W gimnazjum był sobie, śród różnych: poczytywych (bo takich było wielu) i niepoczytywych Niemców, młody Prusak pan Neumann. Ten uczony mąż kazał nam z lekcji na lekcję uczyć się po czterdzięci wierszy Homera na pamięć, a raz przez dwie godziny dowodził, że nieleży na wymawiać heureka, tylko heureka, bo Grecy wymawiali „ü“, jak niemieckie „ü“. Skąd on się tego dowiedział, o tem nie mówił. Ten światły mąż oświadczył raz na grece, że: — *Polnische Sprache ist noch barbarisch; sie zählt ja doch sieben Casus* i wyjaśniał że cywilizowane języki mają mniej przypadków.

Zdjęła mnie złość wielka i odezwałem się, by nas uczył greki, a nie potraçał mowy polskiej, na której się nie zna. Usłyszałem za to admonicyę:

— *Polnisches Gesindel, slavisches Vieh.*

Zawrzało we mnie, wrywam się z ławki do Niemca, ale mój sąsiad, poczytywy kolega Tadeusz, dziś także ze siwą brodą, łapie mnie za surdut i nie puszcza, więc porygam Homera i jak pociskiem na igrzyskach olimpijskich, mierzę książką w głowę Niemca. Wymierzyłem dobrze. Huknąłem w dodatku.

— *Deutscher Räuber, Slavenmörder.*

Gwałt w klasie. Chłopy nabrali animuszu, pukanie, hałas, Neumann ucieka. Awantura, Mnie dał dyrektor Petri nieograniczony urlop z gimnazjum, kilku skazano na karcer, a całej klasie dano złe noty z obyczajów. Taka to była okazyja urlopu. Trzeba się było uczyć w domu prywatnie.

Neumannowi zawdzięczam, że się znalazł na imieninach u stryja Karola.

Zjazd był wielki. Krewnych, przyjaciół, sąsiadów nazjeżdżało się tyle, że w dworskiej stajni zabrakło miejsca dla cudzych koni, chociaż ja stryj kazał wypróżnić i swoje konie na folwark wysłał. Trzeba było własne konie pozostawiać po karczmach, by dla gościnnych było miejsce na folwarku.

U stryja bywało wesoło. Był humor, gościnność szczerą, wino dobre, a stary Maciej, kucharz, praktykę odbywał na łańcuckim dworze, jeszcze za tych czasów gdy hr. Alfred Potocki dopiero na naukę do Anglii wyjeżdżał, więc mu nie dziwne były wszelakie specyały kuchienne. (C. d. n.)

Zgon wielkiego artysty.

Pobratymczy naród czeski stoi obecnie u trunny największego ze swych współczesnych artystów — malarzy. Waclaw Brožík, twórca „Jana Husa“ i „Krzysztofa Kolumba“ zakończył życie w Paryżu.

Życie Brožíka w pierwszym swoim okresie było jednym wielkiem pasmem zawodów, przeplatanem cieniutką niteczką powodzenia. Zmarły artysta urodził się w Trzemosznie koło Pilzna w r. 1851; ojciec jego był ubogim ślusarzem we fabryce Ringhoffer'a pod Pragę. Od dzieciństwa zdradzał mały Waclawek niezwykle talent rysunkowy, co nawet się odbijało na jego nauce, gdyż zamiast chodzić do szkoły, wolał myszkujeć po sadzie i nasyciwszy pierwszy głód owocami, bazarować ołówkowe szkice lub modelować z gliny, której mu dostarczała miejscowa cegielnia. Naprawdę ojciec oddał go w 15. roku życia do fabryki porcelany w Smichowie; Waclawowi ani się śniło lepić wiecznie ucha do garnków i rychło wrócił do swoich (?) owoców i ołówka.

Po niejakiem czasie artyści pracy zaczęli już mówić między sobą o niezwykłym talencie młodego

dego obdarłusa. Wyjednano mu miejsce w prywatnym zakładzie naukowym, gdzie otrzymał pierwsze początki rysunków, a rok 1868 zastał go już w praskiej Akademii Sztuk Pięknych.

W trzy lata później wystawił swój pierwszy obraz historyczny: „Ewa Lobkowitz odwiedza swego ojca w więzieniu”. Obraz ten został zakupiony przez stowarzyszenie miłośników sztuki. Z pieniędzy otrzymanymi za niego udał się Brożik do Dreżna, gdzie po wyczerpaniu się zapasów kopiował dla chleba obrazy Rembrandta, pracując równocześnie nad wielkim obrazem historycznym: „Wesele Zarisa z Kunegundą, wdową po królu czeskim Ottokarze II”. Obraz ten, który zwracał ogólną uwagę przepychem swego kolorytu, był stworzony w tak niskiej izdebce że artysta malował go — leżąc! Na modele nie było pieniędzy, tem mniej na kosztowne materye których trzeba było używać na wzory przy malowaniu szat orszaku weselnego. Od czegoż jednak pomysłowość! Suknia Kunegundy zawdzięcza przepych swego kolorytu głowie dzikiej kaczki, na którą patrzył Brożik malując wspomniane szaty godowe! Nie potrzeba zapewniać, że korpus tej kaczki nie spoczął w żołądku artysty!

Dalszym etapem jego artystycznej wędrówki było Monachium, gdzie dwa lata kształcił się pod kierunkiem Pilotiego. Postępy jakie robił były kolosalne i okazały się w całej pełni w obrazie: „Pożegnanie Ottokara z rodziną”, który został wystawiony w Pradze r. 1874.

W tym samym czasie zwiedzał po raz pierwszy Paryż w towarzystwie znakomitego ilustratora polskiego, Andriollego. Andriolli wykonywał wtedy roboty dla słynnego Gustawa Dorégo i często bywał w Paryżu. Do Monachium wrócił artysta ze stanowczym zamiarem obrania Paryża za miejsce pobytu.

Tymczasem krach wiedeński przerzedził szeregi bogatych mecenasów sztuki, a w ślad za tem obrazy nie znajdowały pokupu. Zamiast do Paryża wrócił Brożik do Pragi, wezwany tam przez pewnego arystokratę, celem namalowania całego szeregu medalionów.

Odtąd zaczynają się coraz to przykrzejsze zawody i figle, płatane ciągle Brożikowi przez los niestały.

Arystokrata, nie czekając ukończenia obrazów, przedsięwziął podróż naokoło świata, a artysta został z pół tuzinem obrazów — na lodzie. Inny mecenas sztuki wysłał go do Paryża, obiecując nadsyłać co kwartał pokazałą sumkę na utrzymanie. Brożik pojechał i — nie doczekał się ani złamanego szeląga.

Tym sposobem młody, nieznany artysta osiadł na bruku paryskim bez grosza w kieszeni.

Nie tracąc jednak kontenansu namalował o głodzie i chłodzie obraz z wojen busyckich: „Ofiary fanatyzmu” i posłał go wraz z drugim, poprzednio już namalowanym: „Księżniczka czeska Dagmar i król duński Waldemar II.” na wystawę, gdzie je przyjęto i wystawiono. Zrobiły dość dobre wrażenie ale i na tem się skończyło.

Wobec tego Brożik wyteżył jeszcze raz wszystkie siły moralne i fizyczne na utworzenie wielkiego dzieła. Wziął na kredyt płótno i farby, model uczynił swoimi „wspólnikami”, to znaczy, że za pozowanie miał zapłacić po sprzedaniu obrazu, wynajął wozownię (!!) na atelier i namalował tam olbrzymi, 5 metrowej szerokości obraz historyczny: „Konkury Władysława II. króla Czech i Węgier, na dworze Karola VII., króla francuskiego”. Obraz ten znalazł się w roku 1878 w „Salonie” paryskim i zwrócił od razu uwagę wszystkich na siebie.

Nadludzkie trudy artysty znalazły uznanie. Dzieło jego przyznano medal II. klasy. Dostanie takiego odznaczenia przez cudzoziemca, dopiero drugi rok wystawiającego swe dzieła w Paryżu, było faktem wprost niesłychanym. Handlarz obrazów Sedelmayer kupił „Władysława” za 10.000 franków a imię Brożika znalazło się na ustach całego Paryża.

Odtąd los przestał drwić sobie z artysty. Brożik otrzymał zaraz całą seryę zamówień, stał się sławnym i wziętym, ożenił się z panną Sedelmayer, córką handlarza obrazów i żył spokojnie, tworząc coraz to nowe znakomite dzieła, jak: „Partja szachów”, „Petraea i Laura na dworze awiniońskim”, „Zabawa u Rubensa”, „Cesarz Rudolf II. u alchemika” i w. i.

Najwspanialszymi utworami artysty są: „Jan Hus” i „Krzysztof Kolumb” malowane prawie równocześnie. Po nich nastąpiły jeszcze: „Defenestracja Martinica i Sławaty w Pradze” (1889 r.) i „Komunia św. pod obiema postaciami”.

Brożik zmarł w Paryżu. Wraz z nim zesłała do grobu najwybitniejsza postać z pomiędzy współczesnych czeskich mistrzów pędzla, artysta w całym tego słowa znaczeniu wielki i narodowy. To też u trumny jego boleje cały naród czeski, czując, że stracił artystę, który mistrzowsko uwieczniając na płótnie dzieje swojej ojczyzny, składał jej tym sposobem dowody synowskiej czci i przywiązania.

Nasze ryciny.

Jedną z najlubiejszych gier na wolnym powietrzu jest obecnie piłka nożna (po angielsku *football*) która przyjęła się i u nas między młodzieżą. W parku Jordana można latem codziennie obserwować żywe zapasy, których przedmiotem jest olbrzymia piłka, przelatująca z krańca na kraniec olbrzymiego trawnika wśród wesołego krzyku i hałasu. W krótkim czasie ten nowy sport zdobył sobie ogromne uznanie i wyparł nawet częściowo lawn-tennis, grę znacznie mniej wymagającą sił fizycznych a więcej lekkości i zwinności ruchów. Jak dotąd, piłka nożna nie wyszła u nas, dzięki Bogu, po za granice zabawy, tj. nie stała się sportem w całym tego słowa znaczeniu. Nie mamy jeszcze klubu piłki nożnej, ten klub nie ma prezesa, wiceprezesa, dwóch sekretarzy i trzech stampilij, nie urzędują wścigi i nie rozdaje medali, skutkiem czego naród polski nie posiada jeszcze mistrzów-kopaczy zwyciężających w kopanych turniejach i nauczycieli kopania. Pod tym względem jesteśmy jeszcze daleko w tyle za Ameryką. Gra w piłkę nożną przybiera tam charakter takiej zaciekleści i tak gorącego współzawodnictwa, że gracze przyodziewiają się na „match” taksamo niemal jak średniowieczni rycerze przystrajali się na turnieje. Pierś amerykańskiego „kopacza” kryje pancerz z końskiego włosia, watowany i podłożony grubą warstwą wojłoku; na ramionach i u kolan są przymocowane poduszki wojłokowe; na nogach mają amatorowie „kopanego” sportu drewniane szyny, na głowie gumową kapuzę, a nos jest schowany w grubym drewnianym futerale! Ostrożności te są łatwe do wyłomaczenia wobec tego, że bardzo często walka o zwycięstwo w grze kończy się złamaniem nogi, rozbiciem głowy a czasami nawet śmiercią którego z graczy. Przed tak pojmovanym i wykonywanym sportem niechże nas nieba strzegą! Prócz większej ryciny, przedstawiającej jeden z takich „pancernych” matchów, znajdują czytelnicy w dzisiejszym numerze dwie mniejsze, na których są wyobrażone epizody z gry w piłkę nożną na błotnistym terenie.

Wkrótce już otworze się podwoje wszechamerykańskiej wystawy w Buffalo, na której Nowy Świat pragnie pokazać staremu, że wystawy europejskie są niczem w porównaniu z „jarmarkami świata” urządzanymi przez Amerykę. Na miejsce wystawy obrano Buffalo, a to głównie dlatego, że leży w bliskości wodospadu Niagary i posiada znakomitą komunikację z całą Ameryką. Dość powiedzieć, że kolejami, które zbiegają się tam ze wszech stron kontynentu amerykańskiego możnaby w przeciągu 12 godzin zwieźć do Buffalo 40 milionów ludzi! Na wystawie będzie reprezentowane głównie budownictwo, elektrotechnika, szkolnictwo i drukarstwo. Nadzwyczaj wspaniale zapowiada się dział pracy kobiet.

Tegoroczna Wielkanoc zapisze się na długo w pamięci mieszkańców Neapolu. Podczas nabożeństwa w kościele ŚŚ. Apostołów, kiedy uderzono na „Gloria” we wszystkie dzwony, największy z nich oberwał się i runął na dół, druzgocąc po drodze dzwonnika. Olbrzymiemu ciężarowi takiej masy kruszcu nie oparły się wiązania wieży i sufit ściany kościelnej. Dzwon przebił je na wylot i ciągnąc za sobą olbrzymią masę rumowiska zleciał na podłogę kościoła. Wiele osób odniosło ciężkie rany.

Na miejsce zamordowanego Bogolepowa rosyjskim ministrem oświaty został zamianowany generał Piotr Siemionowicz Wannowski. Prasa zachodnio europejska wróży z jego mianowania, że szkolnictwo w Rosji ulegnie zasadniczym zmianom, zwłaszcza, że car wy stosował do Wannowskiego reskrypt, w którym jest dużo mowy o potrzebie gruntownych zmian w wszystkim systemie szkolnym. Całe nieszczęście leży w tem iż niewiadomo o jakich to mianowicie reformach car chce mówić, o postępowych, czy reakcyjnych w duchu Pobiedonoscewa? W każdym razie dziś można już to powiedzieć, że początki rządów nowego ministra oświaty zaznaczyły się wypuszczeniem z więzień kilkuset studentów i studentek uwięzionych za rozruchy. Za Wannowskiego przyczyną podjęte też będą wkrótce wykłady i egzamina na uniwersytetach rosyjskich.

We Wiedniu gościł ostatnio pruski następcą tronu ks. Fryderyk Wilhelm. Przyjmowano go ze strony dworu wiedeńskiego nader wspaniale, urządzano festyny, bale, lecz lud nie interesował się zbyt swym pruskim gościem. Ks. Wilhelm zaczyna już wcześniej wstępować w ślady swojego ojca Wilhelma II, gdyż jak donoszą dzienniki berlińskie, skomponował ostatnio jakiś utwór na skrzypce! Muzyka niemiecka pomnożyła się znowu o jedno arcydzieło.



Z powodu licznych zapytań powtarzamy na tem miejscu notatkę zamieszczoną już w kronice Nru świętecznego, że Nr. 14 „Głosu literackiego i społecznego” został połączony z Nrem świętecznym „Głosu Narodu” i zajmuje w nim stronę 3. — 10.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

LITERATURA.

* Treść pierwszej części najnowszej powieści Tolstoja „Kto ma słuszość” brzmi jak następuje:

Rodzina Spezywczewów, złożona z ojca Włodzimierza Iwanowicza, urzędnika w ministerstwie rolnictwa, jego żony Maryi Mikołajewny i szesnastoletniej córki Wiery, powraca z początkiem jesieni z podróży za granicę do Rosji. Po drodze wstępują do Anatola Dymitrewa Łyszyna, szwagra Włodzimierza, właściciela dóbr w gubernii, nawiedzonej ciężkim nieurodzajem. Pierwsza rozmowa między krewnymi nie ma wcale miłego charakteru, poruszony podczas niej zostaje, ale tylko lekko i powierzchownie, temat liberalizmu z lat sześćdziesiątych. Łyszyn czuje się obrażonym nieprzezornym i pewnym siebie tonem Spezywczewa i zaraz występuje na jaw, że wzajemny ich stosunek po siebie zawsze był naprężony. Równocześnie panie zebrałe w sypialni prowadzą płytką rozmowę a w pokoju dziecinnym najstarszy potomek Łyszynów zachwyca się swoją kuzynką Wierą. Tylko najmłodszy sześciolatek chłopak, rumiany i serdeczny, nie bierze udziału w żadnej rozmowie, oczekuje na głos dzwonka, mający wezwać wszystkich do stołu, a który dziś jakoś się opóźnia. Oczekiwany jest bowiem jeszcze sąsiad, pewien ksiądz, z którym Łyszyn ma omówić szczegóły polowania, naznaczonego na dzień następny. A tymczasem kucharz i kucharka uganiają się po dziedzińcu za kurami, potrzebni na zarznięcie do obiadu: udaje się im wreszcie je schwytać.

W dziedzińcu stoi chłop, ofiarujący owcę na sprzedaż: Łyszyn kupuje ją, aby zdobyła obiad. Nareszcie podczas obiadu nadjeżdża ksiądz; wszyscy starają się być wobec niego bardzo uprzejmi i przypodobać się mu. Przygotowania do polowania kończą się. Następnego poranku udają się wszyscy na polowanie. Po drodze rozwija się rozmowa na temat stosunków włościańskich, nieurodzaju i organizacji dla zapobieżenia nędzy. Wiera, która przywykła, że zawsze ogólną zwracała uwagę, nudzi się, rozmowa na taką tematy wcale jej nie interesuje. Dopiero, gdy się dowiaduje że w zamierzonej organizacji dla niesienia pomocy może być czynną, ożywia się zaciekawia się sprawą i otrzymuje od rodziców pozwolenie na pozostanie tam przez trzy tygodnie. Jako młoda, żywa dziewczyna patrzy na oczekującą ją działalność jak na jaką „partie de plaisir”. Gdy jednak po upływie tego czasu jej stara niania przychodzi, aby ją zabrać do domu, nie chce Wiera do domu wracać. Z tego powodu przychodzi pomiędzy jej rodzicami do niemiłej sceny i ostatecznie ojciec Włodzimierz Spezywczew sam wyjeżdża po córkę. Zastaje ją wraz z innymi młodemi osobami przy pracy społecznej w pełni rozwiniętej. Na tem kończy się pierwsza część powieści.

* Żadna dotąd literatura nie uczciła tak Juljusza Zeyera, jak nasza, a stało się to za sprawą entuzjastycznego wielbiciela tego poety, Zenona Przesmyckiego (Miriam), który najcenniejsze prace Zeyera pracowicie a wytwornie przełożył i w 2 dużych tomach w Warszawie je wydał p. t. „Juljusz Zeyer. Wybór pism. Układ tłumaczenia i słowo wstępne Miriam (Zenona Przesmyckiego)”.

Tom pierwszy zawiera utwory poetyckie (str. XIII i 472), tom drugi prozę epicką (str. 439). Do tomu I dodano piękny portret Zeyera, słowo wstępne Miriam („Los genjuszów”) i wykaz bibliograficzny pism Zeyera. Ukazało się to wydanie, smutnym zbiegiem okoliczności, w miesiąc po śmierci Zeyera. Przyjaciel jego i tłumacz tych dzieł, Miriam, w pierwszym zeszycie *Chimery* tak obwieścił o jego śmierci:

„Wielki mistrz czeski, jeden z najwyższych duchów świata, wskrzesiciel eposu w całej jego świętości i potędze, z przedhomerowską mytów głębią, poeta otchłannego marzenia i tęsknoty nieukozonej, twórca „Wyszehradu”, „Kroniki o św. Brandanie”, „Nekłana”, „Jana Maryi Plojhura”, „Trzech legend o krucyfiksie” i nade wszystko „Króla Koteluy” i „Na Synaj”, tych dwóch gralów złotych, tających w sobie najświętsze, anielskie, boskie pierwiastki istoty człowieczej — Juljusz Zeyer, zmarł w Pradze d. 28-go stycznia, w 60-tym roku życia.”

W przedmowie do dzieł Zeyera, którą tłumacz za napis na portyku świątyni zeyerowskiej położył, czytamy wyrazy pełne wiary, że przechodzień, który raz progi tej świątyni przekroczy „z ciszą w duszy, z gorącością w sercu, z napiętą niby struna oddźwięczną całą istotą wewnętrzną, już mu przewodników nie potrzeba. Śród brzmienia rytmów, tęczowania obrazów, oblicze wielkiego ducha samo w olśniewającej wyblęśnie mu chwale”. Dlatego tłumacz ogranicza się krótką przedmową, nasuwającą wszakże czytelnikowi wiele myśli na temat samotności takich genjuszów jak Zeyer.

„Wybór pism” Zeyera to wydawnictwo godne piśmiennictwa o dużej kulturze, zdolnej przelewać utwory poezji obcej w formy języka własnego bez uszczerku dla dzieła sztuki, a z pożytkiem dla siebie — w dobrze zrozumianym interesie: rozszerzenia duszy swojej do horyzontów, widzialnych najwyższym duchom świata.



W Niedziele i Święta zamknięte.
GRODZKA L. 2.
(dawniej Bruno Hahn.)

STEFAN POREBSKI i Ska.
Nici, Bawełny, Jedwabie, Włóczki i wszelkie przybory do szycia i haftu.

Z KURNIKA ZARODOWEGO

kur rasy Langshan, założonego przez c. k. Towarzystwo Rolnicze krakowskie, sprzedaje **koguty** po 6 kor., **Kury** po 4 kor., **Jaja** po 30 hal. bez opakowania
E. Kamiński w Przyborowiu p. Grabiny.

Kantor wymiany

Filii c. k. uprzywil. gal. akc.

BANKU HIPOTECZNEGO

W KRAKOWIE,

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne.
Wypłata wszelkich kuponów, i wylosowanych efektów bez potrącenia prowizyi.

FILIA c. k. UPRZYW. GALIC. AKC.

Banku Hipotecznego

W KRAKOWIE.

wydaje

ASYGNATY KASOWE

oprocentowując takowe

4¹/₂% za 90 dniowem wypowiedzeniem
4% za 60 dniowem wypowiedzeniem
3¹/₂% za 30 dniowem wypowiedzeniem

Filia c. k. uprzyw. gal. akc. Banku hipotecznego przyjmuje wkładki do oprocentowania w rachunku bieżącym, wydaje w tym celu książeczki czekowe, przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela zaliczki na papiery wartościowe i skutecznie zlecenia na zakupno lub sprzedaż efektów na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.

Parcelacya.

W okolicy Bochni 2¹/₂ klm. od stacyi kolejowej oddalony **majątek w objętości 410 morgów** ornej, bardzo dobrej gleby, zostanie częściowo **rozparcelowany pod bardzo korzystnymi warunkami.** Połowa ceny kupna pozostaje na hipotece spłacalna w przeciągu 20 lat.
Zgłoszenia uprasza się nadsyłać do p. **Ignacego Plesnara,** Kraków ulica Jagiellońska l. 5, parter — „Głos Narodu“.

Do sprzedania.

Bardzo piękna wieś,

850 mrg obszaru, 2 klm od stacyi kolejowej oddalona między Tarnowem a Dębicą położona. 650 morg roli i łąk, postępowo i racjonalnie w własnym zarządzie od długich lat zostająca — wraz z bardzo pięknym inwentarzem żywym i martwym, oraz zasiewami ozimin, 200 morg młodego lasu obejmująca jest za ostatnią cenę **160.000 zfr. do sprzedania.**

Towarzystwem kredytowem ziemskim **85.000 zfr.** obciążona, jednak jeszcze wyższa suma w tym Towarzystwie może być podniesiona. **żadnych innych ciężarów ani serwitutów niema.**

Wiadomość **J. PLESNAR** Kraków, ul. Jagiellońska 5. parter, Głos Narodu.

Na Wielopole

CYRK WIKTORIYA

80 osób! Muzyka własna. 50 koni!

W niedzielę 31 marca **DWA WIELKIE PRZEDSTAWIENIA.**

Początek popołudn. o 4. wieczorowego o 8 godz. Przedstawienie popołudniowe tak samo będzie efektowne, jak i wieczorne.

Występ wszystkich artystów. Oryginalne tresury z wolnej ręki przez Pana i Panią dyr. Wiktor; jakoteż wszystkich kłownów i Augustów, z świeżeni żartami.

Z wysokiem poważaniem
Dyrektor Wiktor.

Bliższe szczegóły w afiszach.

Majątki do sprzedania.

MAJĄTEK

w okolicy Dębicy składający się z 525 morg, w czem ornej ziemi 240 morg, łąk 25, wiklin 30, lasu 230 morg, w tem 120 wysokopiennego po cenie 500 zfr. za morgę, w własnej administracyi prowadzony i wzorowo zagospodarowany, wraz z zabudowaniami i inwentarzem żywym i martwym.

MAJĄTEK LASOWY

obejmujący 4800 morg, w tem lasu starego i rębego 3400 morg, 800 roh, 600 łąk, zagospodarowany dobrze, wraz z inwentarzem żywym i martwym jest w wschodniej Galicyi za cenę 1.150.000 koron, z długiem bankowym 300 tysięcy koron.

MAJĄTEK

10 klm. od Ropczyc oddalony, obejmujący 2565 morg w czem roli 769, łąk 128, lasu bardzo ładnego 1668 morg, z gorzelnią będącą w ruchu, dobrze zagospodarowany wraz z inwentarzami i powozami, z długiem 150 tysięcy Tow. kred. Ziemskiego jest za cenę 400.000 koron do sprzedania.

Bliższych wyjaśnień osobom reflektującym na takowe udziela

p. **Ignacy Plesnar**

Kraków, ul. Jagiellońska l. 5 parter. „Głos Narodu“.

NOWO ZAŁOŻONY

Zakład pogrzebowy Jana Wolnego

w Krakowie, przy ul. św. Tomasza L. 4, Telefon L. 331.

Jedyny zakład na Kraków, posiadający własny wyrób trumien w różnych gatunkach.

Fabryka oraz skład główny przy ulicy św. Tomasza L. 4.

Zakład urządza pogrzeby od najwspanialszych do najskromniejszych po cenach nader umiarkowanych, jak również urządza takowe na spłaty w ratach miesięcznych.

Filia znajduje się przy ul. Kopernika L. 6.

Ważne dla P. P. Restauratorów.

Naczynia Kuchenne Miedziane

tanio są do sprzedania

w dziale inseratowym „Głosu Narodu“ w Krakowie przy ul. Jagiellońskiej L. 5.

Na ządanie wysyłam darmo i oplatnie okazy tutek.

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych oraz tutek cygaretowych

„NORIS“ WŁ. BELDOWSKIEGO

magistra farmacyi i chemika w Krakowie,

Kraków, przy ul. Poselskiej l. 20.

eee

Dla łatwego wyboru tutek polecam.

Tutki białe „Noris“

„ z wata

„ kukurudziane „Maïs Numa“

„ „ „Maïs Albert“

Tutki kukurudziane „Maïs de Paris“

„ „ „Maïs Wallis“

„ egipskie „El Maur“

„ „ „Ofic. Club“

Idąc za postępem i rozwojem przemysłu i chcąc zaspokoić wszelkie wymagania palących papierosy, wprowadziłem „Noris“ udoskonalone, tem się odznaczające, że papieros zapalony nie gaśnie szybko, nie naciąga tłuszczem, i dlatego cały papieros do końca można smacznie wypalić. W ogle zwracam uwagę na tutki białe „Noris“ i kukurudziane, odznaczające się chłodnym i łagodnym dymem, nie wpływające ujemnie na zmianę smaku i zapachu tytoniu i to jest ich bardzo wysoka zaleta, że nie drażnią krtani i nie pobudzają wskutek tego do kaszlu. Liczne uznania jakie ciągle odbieram, są najlepszym dowodem niepospolitej jakości moich wyrobów.

Do nabycia w handlach i trafikach.

Wylączny skład na Lwów i wschodnią Galicyę: w składzie osobliwszych gatunków tytoni i cygar, ulica Karola Ludwika.

1-

Z wysokiem poważaniem

Wł. Beldowski, mag. farmacyi i chemik.

PP. Kupcom i Cukiernikom polecam worki papierowe i pudełka na cukry po cenach bardzo niskich.